

MARIAN MIKA
ur. 1947; Wrocieryż



Tytuł fragmentu relacji	Kolejki
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; po 1944 roku
Słowa kluczowe	kolejki, życie codzienne, PRL

Kolejki

Opowiem taką rzecz dowcipną, mianowicie, kiedy podstawowe produkty to była ważna rzecz, którą trzeba było wystać, w tym sensie, że zawsze ileś tam osób było przede mną. Normalne, po godzinach pracy, że czekało, kupowało ten chleb, jakiś cukier, jakiś inny produkt, prawda masło, czy coś innego, mleko. Zawsze tak było. Rzadko się zdarzyło, żebym wszedł do sklepu i byłem ja pierwszy, albo drugi, lub trzeci jak to teraz jest. Jest dwie, trzy osoby i właściwie stoję raptem pięć minut, albo, w sumie razem z kupowaniem zajmie mi to dwie, trzy minuty i tyle. No wtedy było to straszne. A najgorsze to było takie, że ktoś na przykład, no chciał się napić kawy, albo herbaty, no rodzynki już nie mówiąc o innych tam produktach, to były wystawione dwa kartony na przykład kawy w torebkach i po torebce każdemu. Kolejka się ustawiała i każdy kładł pieniądze i zabierał sobie torebkę czy herbaty, czy kawy. Co sprytniejsi podchodzili dwa razy, trzy razy i mieli zapas tej kawy, czy herbaty, bo też tak było. No ludzie kombinowali. Władzy się wydawało, że w ten sposób się nas ustawi, nas grzecznie, nam się pokaże jak powinno być, a tym czasem ludzie się uczyli cwaniactwa, bo i po prostu to było podyktowane tą biedą taką, straszną biedą, która no do różnych rzeczy człowieka skłania.

Pamiętam jak żona stała w kolejce po maszynę do szycia. Bardzo jej była potrzebna, taka zwykła przenośna, walizkowa. I razem z siostrą, bo siostra też wtedy sobie kupiła, stały na Kalinie. No dość długo stały, od którejś tam w nocy godziny trzeciej, czwartej, nie wiem do dziesiątej, jak otwierali sklep. Wtedy jakoś tak od dziesiątej były te przemysłowe sklepy. I owszem kupiły te maszyny. To był „Łucznicz” właśnie radomski. Kiedy po jakieś, nie wiem miesiąc później, pojechaliśmy służbowo do Kielc i wracając wstąpiliśmy do „Łucznicz”, do tego sklepu właśnie przyzakładowego, tam trzeba nam było igły do maszyn, tych naszych teatralnych, z koleżanką wstąpiliśmy do sklepu i tak rozglądałam się wszędzie, stoją maszyny, tutaj półki się, można powiedzieć, że jak na owe czasy to ugiwały od tych igieł, nie igieł, różnych tam części zamiennych itd., maszyn do szycia. I tak spojrziałem za siebie, patrząc się, tam stoją te takie szafkowe te maszyny, tutaj na ladzie taka wieloczynnościowa, piękna. Pytam się: „Można kupić tą maszynę?”, „Tak, proszę pana, ma pan cenę o z tej drugiej strony”, mówi jest cena, „A tamte pozostałe?”, „Tak, może pan kupić tą maszynę”. Więc ja wróciłem do Lublina i się tak zastanawiam, chwileczkę, czegoś tu nie rozumiem. Dlaczego tu się stoi tyle godzin, trzeba

kombinować, łapówkować itd., bo tak było, trzeba było zawsze coś komuś dać, temu kierownikowi sklepu, czy temu sprzedawcy, bo ja mogłem dojść a on powie: „Nie ma, skończyły się”. Ja wyjdę, a tu się znajduje dla kogoś tam, no, bo i tak bywało. Więc dlaczego ja tam mogłem kupić, a tu nie? Co, bo przykładowy? Nie rozumiem. Sklep przykładowy, a tu jakiś inny był? Też przecież „łuczniaki” sprzedawali. I to najgorzej człowiekowi bolało, że taka nierówność była przedziwna, że tak jakoś niesprawiedliwie te rzeczy były. Albo z tymi wszystkimi, co na co dzień się człowiek spotyka produktami, które są potrzebne do realizacji sztuk teatralnych na przykład, materiał jakiś, kleje, no drewno, śruby, gwoździe itd.

Tuż przed wystawą XXX-lecia bodajże w Moskwie, była taka piękna, wielka wystawa, gdzie Polska zaprezentowała, co tylko mogła, co potrafi i co wykonuje i tuż przed tą wystawą, no z biedą, bo na rachunek nie chcieli nam sprzedawać takich rzeczy, jak prawda tam gwoździe, czy śruby. Ale z biedą, jakoś tam się zagadało, coś tam się, jakieś zaproszenie wystosowało do teatru z dziećmi dla pana kierownika, czy pracownika, sprzedał tam w jakiś sposób ten kilogram śrub, czy tam dwa kilogramy, akurat takie, jakie mi były potrzebne. Natomiast, no po tej wystawie, to już nic nie można było kupić. Zniknęła farba emulsyjna, tak potrzebna, pigmenty, które dostawaliśmy z RFN wtedy. Jakoś nam chyba ukrócili, zakręcili kran, bo to wszystko myśmy produkowali i jakoś tak szło. Potem podobno sprzedawane do Związku Radzieckiego. Więc, no w każdym razie nie było tego na rynku, to zaczęło zniknąć. Potem się pokazały bardzo lipne farby emulsyjne, do niczego kolory, blaknące itd. No, ale i tak się zastanawialiśmy, o co tu chodzi, czemuż to tak zniknęły te wszystkie produkty. Później było przecież ta olimpiada w Moskwie, podobnie, jeszcze gorzej. Przecież to masa materiałów. Polacy tam podobno jakiś stadion robili, coś tam wykańczali i też te materiały potem niektóre z tych takich potrzebnych zniknęły z rynku. A przecież produkowaliśmy, dzień i noc można powiedzieć.

Data i miejsce nagrania	2005-06-21, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Transkrypcja	Tomasz Czajkowski
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"